

# Nina Andrycz



**W**IELKA heroina epoki, której już nie ma. Wielka gwiazda, budząca kontrowersje stylem gry i kolidującą z rodziną. Jedyna bodaj w powojennej historii aktorka, której dane było stać się obiektem prawdziwie amerykańskich sensacji prasowych. Cóż, wiadomo: była żoną Józefa Cyrankiewicza.

Nie to — naturalnie — stanowi tytuł do sławy Niny Andrycz, amantki i ilrycznej damy, bogini i królowej, którą zaangażował do warszawskiego Teatru Polskiego sam Arnold Szyfman — tworzyła trzon i legendę tej sceny od pierwszych sezonów. I jest tu po dziś dzień.

Wkładala na czoło wszystkie korony. Jej władczy ton, rozpoznawalny jako maniera — Andryczówny, melodia frazy stworzyły osobną historię interpretacji klasyki. Przez jedynych wielbioną, przez innych odrzucaną. Bo Andryczówna była i jest aktorką kontrowersyjną.

Sama wiele z tych kontrowersji kreuje. Jak wówczas, kiedy na prośbę Krystyny Meissner przyjęła rolę pani Dulskiej! Ona, Maria Stuart, jako galicyjski kocmóluch! Była to pierwsza z serii wielkich ról Niny Andrycz, przelamującej stereotyp sceniczny władczyni. Potem przyszła słynna „Gwiazda” Helmuta Kajzara w Starej Prochowni, Gombrowiczowska „Biesiada u Hrabiny Kottlubaj” w Teatrze Prezentacji, gdzie aktorka okazała się cudownym scenicznym medium groteski, był Mrożkowski „Ambasador” i „Tango” w reżyserii Dejmka. Jest „Pępowina” — spektakl telewizyjny Piotra Szulkina, a więc spotkanie dwóch indywidualności, oddzielonych pokoleniem i epoką estetyki.

Nina Andrycz grywa rzadko. Oddała się nowej pasji — odkrywając w sobie talent poetki. Wydała dotychczas trzy tomiki wierszy, głównie liryków miłosnych, ocenionych jako wybitne przez wielką współczesną poetkę Ewę Lipską. (pgr)